

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Aleksander Orłowski.

W roku 1788 przed dom zajezdny w Siedlcach zatoczyła się bogata karoca, z której w towarzystwie strojnie przybranych dam wysiadła ujmującej postaci pani.

W oberży powstał ruch i ożywienie. „Księżna pani“, powtarzano sobie i każdy starał się w miarę możliwości przyozdobić izby na przyjęcie dostojnego gościa.

Wybiegł przed wrota dzierżawca oberży, Orłowski, prowadząc po paru chwilach do uporządkowanej izby gościny panią z pobliskich Puław, księżną jenerałową Czartoryską.

Zaledwie księżna weszła w progi oberży i rzuciła wzrokiem na ściany, stanęła zdumiona, przypatrując się im ze wzrastającą uwagą.

Pobielane wapnem ściany, drzwi, piec, wszystko to pokryte było rysunkami rozmaitej treści: ludzkie karykatury, konie, jakieś bitwy, pejzaże, fantastyczne figury zapełniały każdy najmniejszy kawałek miejsca.

Księżna, gromadząc w swym puławskim pałacu rozmaite dzieła sztuki i obcując ze światem artystycznym, dostrzegła od pierwszego rzutu oka w tych bezładnie rozrzuconych rysunkach znamiona wielkiego talentu, spytała więc oberżysty, kto to jest twórcą tak obfitego zbioru szkiców.

Uradowany Orłowski wskazał na swego 11-letniego synka, Olesia, poświęcającego wszystkie wolne od nauki chwile tym rysunkom, do których treść czerpał z najbliższego otoczenia, lub też z bujnej swej dziecięcej fantazji.

Ogromny talent przejawiający się w szkicach małego Olesia, zainteresował księżną, wyjednała więc

u męża, księcia Adama Czartoryskiego, poparcie dla obiecującego dziecka. W krótkim czasie młodociany rysownik znalazł się w Warszawie u głośnego ówczesnego artysty, Norblina de la Gourdaina, gdzie stanął w rzędzie najlepszych jego uczniów.

Po paru latach talent Orłowskiego, ugruntowany odpowiednim kierunkiem mistrza Norblina, spotęgował się, rokując jaknajwiększe nadzieje.

Nadszedł rok 1794. Pod sztandary Kościuszki garnęły się wszystkie stany: od najpierwszej arystokracji do siermiężnej braci; nie oparł się też prądowi i siedemnastoletni Aleksander Orłowski.

Porzuca Warszawę, zaciągając się do wojska. Ranny musi wkrótce opuścić szeregi obrońców ojczyzny i ponownie znajduje się u swego mistrza. Krótki pobyt wśród obozowego żołnierskiego życia nie pozostał bez wpływu na rozwijający się talent artysty.

W charakterze tego talentu leżało odtwarzanie typów wojskowych, oraz koni, przebywanie więc w odpowiednim środowisku, pogłębiło jego powierzchowne dotychczas obserwacje.

Niespokojne, cygańskie usposobienie nie pozwoliło Orłowskiemu długo przebywać na jednym miejscu. Przyłącza się tym razem do wędrownego towarzystwa „hecarzy i skoczaków“ nie-

jakiego Chiariniego, włocho; przyjaciele jednak widząc, że na włóczędze zmarnuje się jego talent, wyciągają Orłowskiego z budy cyrkowej i sprowadzają znów do Norblina.

* * *

Aleksander Orłowski pozostawił niezatarte wspomnienie w historii polskiego malarstwa, gdyż posiadał



Aleksander Orłowski (Autoportret).



Aleksander Orłowski.

Z teki karykatur.

talent zupełnie odrębny i oryginalny, stając od pierwszych rzutów ołówka na gruncie czysto indywidualnym.

Malarstwo polskie hołdowało w tych czasach tak zwanemu pseudoklasycyzmowi, który to kierunek wpływał z naśladownictwa sztuki greckiej. Orłowski poszedł inną, własną drogą. Nie starał się o wydobycie proporcji i piękna, lecz odtwarzał rzeczy tak, jak się jego oku przedstawiały, stąd też jest on w dziele sztuki najlepszym wyrazicielem i tłumaczem swej epoki.

Wkrótce za ciasno było Orłowskiemu w Polsce, gdzie go otaczano przyjaźnią i oddawano hołd talentowi. Porzuca kraj, za który niedawno walczył i w 1802 roku udaje się do Petersburga z polecającymi listami na dwór księcia Konstantego.

Z początku tęsknił za ojczyzną, którą dobrowolnie opuścił i, jak mówi Telimena w „Panu Tadeuszu“:

„Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,
Wysławiał wszystko w Polsce: niebo, ziemię, lasy.“

Lecz czas powoli tłumił te szlachetne porywy. Ulubieniec ks. Konstantego i wyższych sfer Petersburga, zamieszkały w Cesarskim pałacu, zmienia tematy swych dzieł.

Zamiast naszych mazurów i krakowiaków, tworzy typy wielkorosów, kozaków, czerkiesów, baszkirów i kałmuków, wykonywa portrety rosyjskich wodzów z kampanji 1812 roku, jak: Kutuzowa, Wittgensteina i innych, to też rosyjscy pisarze zaliczają Orłowskiego do rzędu swoich artystów.

Mimo opiewanej przez Mickiewicza tęsknoty za krajem, przebywał Ostrowski w Petersburgu przez trzydzieści lat, strawiwszy tam większą część swego życia i zmarł tamże 13 marca 1832 roku.

J. K. S.

Nie gnuśnieć nam bracia...

Nie gnuśnieć nam, bracia,
W ponurej zadumie,
Kto umarł, złożony w grób;
Kto żyje, niech działa,
Niech czynnym być umie,
Straszny jest żyjący trup!

W rozumie moc wielka,
W uczuciu potęga,
Wzmacniajmyż wartość tych sił!
Myśl w więzy nie skuta
Daleko niech sięga!
Niech wlewa zapał do żył!

Nie boleć nam bracia,
Nad chwilą minioną,
Co przeszło, przestało być;
Choć oko łzą świeci,
Westchnieniem drga łono,
Ból stłumić trzeba i... żyć.

Żyć siłą nadziei,
Żyć czynem dla celu,
Cel grzeje... wytwarza ruch,
A chociaż do niego
Nie dojdzie z nas wielu,
W tysiącach zbudzi się duch!

Helena Bojarska.



Aleksander Orłowski.

Z teki karykatur.

L I P A.

dok.

— Z rodu tej, co tam stoi na straży.

Tak na straży.

Bo lipa stała nieopodal dużego, starego modrzewiowego dworzyszczu.

Jak dawno stała nikt nie wie.

W dworzyszczu zmieniały się pokolenia, każde pamiętało lipę, każde wychowywało się w cieniu jej rozłożystych gałęzi.

Ile pokoleń i ile wieków tak przeszło, nikt nie pamięta.

Lipa nawet nie pomni.

Wie tylko, że była młoda, bardzo młoda, gdy słyszała w dworzyszczu, brzęk oręża, śpiewy bojowe a zwycięskie.

Słyszała rozmowy o wielkości i potędze narodu mieszkającego w dworzyszczu.

Lipa rozrastała się w coraz piękniejsze drzewo, nabierała siły i krasy.

W dworzyszczu zmieniali się ludzie. Radowali się, śmieli, głosy ich rozbrzmiewały daleko...

Aż usłyszała głosy smutku, żalu, cierpienia, szlochy stłumione, rozrywające piersi.

Widziała łzy, co z ocz mieszkańców płynęły. Spadały jako gęsta wiosenna rosa, lecz nie orzeźwiały, nie perliły się jako ona. Pozostawiały smutek i głębokie, ciężkie westchnienia.

Widziała też krew co się strumieniem sączyła, przedzierając się przez progi dworzyszczu.

Dopływała ona, aż do jej korzeni.

Brała ją w siebie, wdychała woń jej liścieniem.

Tą krwią stawała się jeszcze bliższą tym, którzy w dworzyszczu mieszkali.



Aleksander Orłowski.

Kartka ze szkicownika.

Słyszała też i suchy brzęk żelaza i głosy, których nie rozumiała.

Nie rozumiała, lecz czuła, że one coś złego zwiastują.

Bolała więc razem z mieszkańcami dworzyszczu, podzielała ich cierpienia.

Czasami robiło się głucho w starym dworze.

Widziała tylko przesuającą się smutną kobietę, dzieci płaczące i zwracające na niewiastę oczęta jakby pytały:

— Czy zawsze tak będzie?

— Czy to już koniec?

Wtedy kobieta kładła swe białe dłonie na głowę dzieci, a uśmiechając się przez łzy, mówiła:

— Nie zawsze, nie, słońce jeszcze zaświeci...

I rzeczywiście słońce rzucało jasne promienie w głębinę starego dworu.

Dzieci podrosły, młode ich głosy rozbrzmiewały pieśnią.

Kobieta, choć ją pochylały lata i pasma włosów świeciły srebrem, prostowała się, wznosiła głowę, serce jej kołatało, a z młodzieńczą żywością i siłą mówiła:

— Widzicie, rozjaśnia się!

Tak było dużo razy, dużo, bardzo wiele.

Lecz teraz...

Teraz stare dworzyszczu rozpadało się w ruinę.

Modrzewiowe ściany gięły się w wielu miejscach, robak osiadł w ich wnętrzu.

Progi nie zapraszają do wejścia.

Okna pokrzywione patrzą jak oczy umierającego.



Aleksander Orłowski.

Studjum.

We wnętrzu domu przesuwają się cienie, przez noc czarną wywoływane.

Po opustoszałych komnatach przesuwają się jeszcze tylko postać kobieca.

Zbielałe włosy okrywają ją jak płaszczem.

Wątle, drżące dłonie wyciąga przed siebie, jak ten, którego oczy zagasty. Nie widzi. Dotykam jeno szuka miejsca, czuciem rozumie.

Nie widzi więc i starej lipy.

Odczuwa ją tylko.

A lipa rozumie samotnicę.

Szumem swym stara się ją rozweselić.

Podmuchu odrodzonych jej liści, na lica kobiety wypłynął blady uśmiech.

Łzy świecą w zagastych jej oczach.

Wdycha woń kwiatu starej lipy, cieszy się, szepcząc:

— Zakwitła.

A lipa wyrosła dużo nad ono dworzyszczce, stała wciąż na jego straży.

Z. Morawska.

NIGDY!!!

25)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

Ks. Józef czekał niecierpliwie wieści od Napoleona lecz wieści te nie nadchodziły.

Dowiedział się tylko, że jen. Henryk Dąbrowski, który zebrane szeregi jeszcze przed przybyciem ces. Aleksandra poprowadził przez Kalisz, wezwany został przez Napoleona nad Elbę.

Nadchodziły też wieści, że Austrija na pozór neutralna i nie łącząca się z Rosją i Prusami przeciw Napoleonowi, niechętnie patrzy na zbierające się wojska polskie.

Pewnego dnia zebrała się Rada konfederacka.

— Trzeba zaprosić bankiera całego naszego ruchu! — ozwał się ktoś z tejże Rady.

Bankierem bowiem nazywano urągliwie ks. Józefa.

Zaproszono.

— Doszły nas wieści, że wojska ces. Aleksandra zajęły Toruń, Częstochowę i kilka innych miast i mają oskrzydlić Kraków — rzekł Zamoyski zasiadający w Radzie.

I bacznie spojrział na ks. Józefa.

— Fryderyk August nie czekając represji ze strony zwycięzców, opuścił oddawna Warszawę, zerwał z Napoleonem, zawarł umowę z Austrią i schronił się do Pragi czeskiej — dorzucił ktoś inny.

I znów wszyscy spojrzeli ciekawie na ks. Józefa.

Ten siedział ze zmarszczonem czołem, sumując ważne wieści.

— Co robić? — padło na raz pytanie z ust wszystkich zebranych. W stanowczej chwili szukali rady Ks. Józefa, którego zdanie dotąd odrzucali, jako przeciwnika wszelkiej ugody.

— Ja opuszczam Kraków i pociągnę wraz z wojskiem nad Elbę, za Napoleonem — rzekł Poniatowski.

I znów tak jak ongi w Warszawie, jeno teraz głosem serdecznym członkowie Rady przyklasnęli jego myśli, dodając:

— I my również opuszczamy Kraków.

I wyciągnęły się wszystkie dłonie do Ks. Józefa.

W tym uścisku zapomniano wzajemnej urazy.

Niebezpieczeństwo połączyło tę garść zacnych ludzi, z których każdy pragnął ocalenia ojczyzny, chociaż dążył do tego innymi drogami.

Rada konfederacka została rozwiązana 30 kwietnia 1813 r. członkowie jej niezwłocznie opuścili Kraków.

Jedni wyjechali do Drezna, inni do rozmaitych wód czeskich, przeważnie do Karlsbadu.

— Im więcej zbierze się nas w jednej miejscowości, tem łatwiej będziemy mogli radzić o przyszłości kraju — mówiono.

Towarzystwo pragnące się bawić z wielkiem niezadowoleniem przyjęło wieść o wyjeździe dostojników, z większem jeszcze o wymarszu wojska.

Jakkolwiek minister wojny, wódz naczelny nie brał prawie żadnego udziału w zabawach i nie pokazywał się w towarzystwie, damy jednak nie traciły nadziei, że podczas wiosennych wycieczek zdołają przypuścić do niego szturm, a zawsze uprzejmy dla dam książę nie będzie mógł im się oprzeć.

Wieść, że cześnikostwo Wielniccy wraz

z córką byli na przyjęciu u księcia, spać im nie dawała.

Zniżyły się nawet do tego, że zazna-
miły się z cześnikostwem Wielnickimi na
których z początku noskiem kręciły.

P. Mokronowska wyszukała zaraz ja-
kiejś koligacji i kazała się wieść do cześni-
kostwa.

Nie zraziło ją nawet, że ci zajmowali
nader skromny domek na przedmieściu We-
soła.

Weszła i wyciągając rękę do p. Wiel-
nickiej, zaraz od progu rzekła:

— Nie poznajesz mnie Honorciu droga?

Cześnikowa mimo całej uprzejmości nie
mogła odnaleźć w pamięci wymalowanej
twarzy garbatej damy.

— Nic dziwnego, nic dziwnego; wieki
całe, byliśmy wtedy bardzo młodzietkie,
prawie dzieci, kiedy spotykałyśmy się u ka-
sztelanowej Połanieckiej.

Cześnikowa nigdy w życiu nie była
u kasztelanowej, generałowa zaś na chybił
trafił wymówiła to nazwisko, wiedząc, że
w domu kasztelanowej przesuwiała się moc
gości.

Cześnikowa w prostocie swego ducha
i prostocie zacofanej parafianki, chciała na-
wet powiedzieć, że nie miała zaszczytu by-
wać w domu kasztelanowej, ale pani Mo-
kronowska nie dała jej przyjść do słowa.

Wymieniła za to kilka nazwisk, przez
które miały być z cześnikową i jej mężem
skoligacone.

Wreszcie rzekła:

— Ale ty droga Honorciu niceś się nie
zmieniła, piękność twoja tylko dojrzała a odro-
dziłaś się w córce, która jest wprost cu-
dem piękności!

— Ale gdzie ona?—rozglądając się po
niewielkiej bardzo skromnie urządzonej ba-
wialni.

— Cały Kraków mówi o waszej córce,
nie bądź zazdrosną: trzeba ją w świat wpro-
wadzić, dopomogę wam do tego! Zaprezen-
tuj mi ją! — nalegała.

— Znajomość z tak dostojną i wpły-
wową osobą byłaby prawdziwym dla mojej
córki zaszczytem; chętnie też przywołała-
bym ją tutaj — odrzekła cześnikowa, lecz
Anielki w tej chwili niema w domu.

— Gdzie jest, gdzie? — zawołała z cie-
kawością p. Mokronowska.

— Wyszła z ojcem.

— Macie zapewne dużo znajomych? —
pytała natrętnie przybyła.

— Prawie nikogo. Mąż mój jeszcze nie-
domaga po otrzymanej ranie pod Berezy-
ną; nie bywamy nigdzie.

— Wiem, jednak, że Ks: Józef darzy
was szczególniejszymi względami, żeście na-
wet kiedyś byli na przyjęciu u niego. — Mówi-
ła dalej generałowa.

— Ależ to nie było przyjęcie! za wyso-
kie to progi. Mąż mój został mianowany
furjerem odzieży dla wojska, Anielka zda-
wała sprawę z uzbieranej i uszytej przez
rozmaite osoby bielizny i odzienia dla woj-
ska, a ja jej towarzyszyłam.

— A skądże Anielka może zdawać spra-
wę z takich rzeczy? — przerwała ze zdzi-
wieniem i skrzywieniem ust przybyła.

Cześnikowa dostrzegła to skrzywienie,
odrzekła jednak, nie tracąc swego zwykłego
spokoju:

— Anielka już od kilku miesięcy, je-
szcze na wsi, namówiła sąsiadki do szycia
dla wojska.

— Ach, jak to pięknie! — przerwała
z udanym zachwytem generałowa. d. c. n.



Wnętrze dziedzińca i biblioteki Jagiellońskiej z po-
mnikiem Kopernika w Krakowie.

STANISŁAW BEŁZA

24)

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

Nie widząc dokoła siebie twarzy smutnych i oczu załzawionych, z jakimi spotyka się co krok na cmentarzach naszych, nie mając przed oczami tej grobowej powagi, z jaką u nas w mieście umarłych poruszają się przywykło wszystko co żyje, owszem, słysząc tu pod tym cyprysem szept wesołej rozmowy, tam okrzyki głośne dzieci, korzystających z dozwolonych im żartów, zapomina się prędko o tem, gdzie się jest, groza śmierci rozwiewa się z przed oka ducha.

Ale choć panująca tu swoboda ruchów i rozmów o grozie cechującej cmentarze nasze myśleć ani na chwilę nie pozwala, przecież te kamienie grobowe na każdym kroku przypominają, że to jest cmentarz, że pod temi zapisanemi arabskimi literami płytami marmuru spoczywają ci, którzy osiągnęli już cel wędrówki doczesnej, stanęli przed tronem Przedwiecznego, po nagrodę lub karę, za swoje czyny; więc kiedy się o tem wspomni, zwraca się nagle myślą ku nim, ale pod wpływem tego naturalnego życia, jakiego jest się tu świadkiem, i tych szeptów, i tych śmiechów, i tych żartów, z jakimi nie przywykło się spotykać w podobnem miejscu gdzieindziej, wraca się z myślą nie pogńębienia i przerażenia, ale pogody i spokoju, bez ponurych uczuć, jakie w każdym, kto żyje, śmierć budzić zwykła.

I marzy się o przyszłym życiu, lecz jak o czemś, co nie odpycha od siebie, jeno pociąga, co nietylko jest nieuniknionem, ale nawet i wysoce pożądanem — po trudach, po walkach, po cierpieniach, po zawodach, po krwi, łzach i jękach tego życia...

Wszystkie cmentarze Konstantynopola, jak meczety i turby, podobne są do siebie, wszystkie przedstawiają się z daleka, jako lasy wspaniałych ciemnych cyprysów.

Rzeczywiście wspaniałych, i gdy się im uważnie przygląda, nie chce się wierzyć, by te długie, cienkie i chude drzewa, które na zachodzie Europy pod to miano się podciągają, cyprysami rzeczywiście były. Rozgałęziają się bo one tu szeroko, przybierają kształty nie ściętych, spiczastych, jak gdzieindziej, stożków, ale rozłożystych okrętowych masztów, i w dnie słoneczne układając się szerokim cieniem na ziemi, jak gdyby grobowym całunem pokrywają w turbany przyozdobione kamienie, na których napisy przypominają żyjącym bądź o tych, którzy umarli, bądź o tem, że każdy, kto żyje, umrzeć musi.

Przy pomocy nieodstępnego przewodnika przeczytajmy niektóre z tych napisów, a przeczytawszy je, w dokładnym przekładzie zachowajmy w naszej pamięci. Zasługują na to, raz jako przykład obrazowego języka wyznawców religii Mahometa, a powtóre jako świadectwo ich duchowych, poza grób sięgających dążeń.

Oto ciekawsze z pomędzy tych napisów:

— „Świat jest znikomy. Nic nie jest wiecznym prócz Boga. Dziś mnie, jutro tobie. Tu spoczywa w Bogu Halil Efendi, pisarz w cesarskim Dywanie. Prosi się o modlitwę za jego duszę“.

— „Gdziekolwiek się znajdziesz śmierć cię dosięgnie; nie unikniesz jej, nawet na najwyższej wieży“.

— „Wyszliśmy z Boga i powrócimy do Boga“.

— „Zleciał na ten świat skowronek,

„I fruwał po wszystkich stronach.

„Pałac świata przebiegł z wesołością

„I wyleciał z niego motylem“.

— „Ach moja córka odeszła już do raju,

„Ale swoją matkę w smutku pozostawiła“.

— „Nieboszczyk ster swój zwrócił ku wieczności, burza złamała maszt jego barki i pogrzyżyła go w morzu łask Boga“.

Dalej jakaś nieszczęśliwa matka z kamienia swojej córki opowiada, że:

„było przeznaczonem, aby moja córka, ptak mego serca, który porzucił swoją klatkę, nie żyła dłużej, jak lat 13 na świecie,“

jakiś ojciec zapisuje, że zmarły syn jego, Ibrahim „ujrzał księżyc swojego życia, szybki w pochodzie, zaćmiony ręką przeznaczenia“

i wreszcie inny pociesza się z poddaniem wyrokom wyższym taką uwagą:

„Mahomet wypił zapomnienie nędz tego życia, niech Bóg będzie dla niego miłosiernym“.

Niech będzie miłosiernym... i dla niego i dla nas... i niech, gdy nas odwoła z tej ziemi — pocieszy tych, którzy tu po nas pozostaną, podobnie słodką i pogodną filozofją, przejmującą głęboką wiarą w to, że szczęśliwi tam być musimy, chociażby z tego jednego względu, żeśmy już wychylili do dna kielich wspomnień tego, co nam... w tem życiu łyż z oczów wy-ciskało...

* * *

Pokazywano mi w Ejubie mogiły haremu.

Tuż przy ustronnym parkanie stoi kilka marmurowych kamieni bez turbanów, a na nich arabskie napisy mówią, kogo przygniatają swoim ciężarem.

Mogiły nie wyróżniające się zresztą niczem od innych, zatrzymały mnie przecież przed sobą dłużej. Wiedząc, czyje zwłoki zamykają, uprzytomniłem sobie złamane życie tych, które tu we śnie nieprzespanym złożono, wskrzesiłem je siłą wyobraźni z grobu, stanąłem z niemi oko w oko.

I ukazał mi się ogrom niedoli i upodlenia kobiety mahometańskiej, zdało mi się, że słyszę z poza tych mroków roztaczającej się dokoła nich nocy, protest gwałtowny przeciwko jej poniżeniu, skargę wołającą o pomstę do sumienia ludzkiego.

Te spoczywające w tem miejscu, jak powiada Mickiewicz:

Z winnicy miłości niedojrzałe grona

Wzięte na stół Allacha, te perłki Wschodu

Z morza uciech i szczęścia porwane za młodu

W trumnę, konchę wieczności do mrocznego łona,

zdały mi się być posłami zmarłych i żyjących swych siostrzyc, i w ich imieniu targać przedemną struną jęków i żalu.

I poruszyła mnie do głębi ta ich skarga, i mroczne myśli przesunęły się w mojej głowie, i raz jeszcze zrobiło mi się żal tego świata, którego Stambuł jest słońcem, i gdy opuszczał w tem miejscu smutku mogiły najsmutniejsze ze smutnych, stanęło mi na pamięci zakończenie wiersza, w którym wieszcz wielki zamknął moc bólu nad bezgraniczną połowy wschodniego świata, niedolą:

O wy róże edeńskie o czystości stoku,
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liściami
Na wieki zatajone niewiernemu oku.
Teraz grób wasz spojrzanie cudzoziemca plami...
Pozwalam mu, darujesz o wielki proroku,
On jeden z cudzoziemców spoglądał ze łzami“.

VII.

Bazar dawniej i dziś. — Ostatnie trzęsienie ziemi w Konstantynopolu i największa z jego ofiar. — Co się dziś w nim widzi? — Obrazy rezygnacji i spokoju. Wiara Turków w przeznaczenie, i co o przeznaczeniu koran mówi. — Wędrówka wzdłuż i wszerz Stambułu. — Obrazy spotykane po drodze.

Kto dawniej nawiedził Stambuł, kiedy już nacieszył swój wzrok widokiem Aja Sofji, meczetów sułtańskich, turb i miejsc wiecznego spoczynku mahometan, szedł zazwyczaj do wielkiego Bazaru.

Ciągnęła go tam być może czasami chęć zaopatrzenia się w coś takiego, co mu do śmierci Wschód będzie przypominał, a czego na wagę nawet złota nie mógłby gdzieindziej dostać, ale zawsze gorące pragnienie przyjrzenia się praktycznej stronie życia ludu, którego strona idealna, duchowa, w przybytkach Bogu poświęconych, tak silnie przemawiała do jego duszy. To też dawniej, Bazar od wschodu niemal do zachodu słońca, roił się od podróżnych; po jego krętych i wązkich ulicach, zwłaszcza też w poobiedniej porze, przecisnąć się było niepodobniestwem, a sklepy, w których sprzedawano drogie kamienie, gdzie każda upośledzona od natury kobieta była pewną, że znajdzie to, co ją podniesie w oczach mężczyzn, lśniły od barw szat, i blasków rozpromienionych niewieścich oczu.

I jeżeli, jak się dowcipnie ks. biskup Niedziałkowski wyraził, zwiedzając wystawę brylantów cesarskich

w Wiedniu, gdzie z mężczyzną czasami się tylko spotykałeś, ale kobiet widziałeś zawsze tłumy, można było uczynić spostrzeżenie, że ze wszystkich nauk jakie są, piękne nasze i nie nasze panie, okazują najwięcej pociągu do... mineralogji, to spostrzeżenie w tej części Bazaru stambulskiego, gdzie mineralogja popisywała się z tem, co miała najpowabniejszego, czyniło się bez porównania częściej, tu bowiem świat kobiecy panował wyłącznie i wszechwładnie, wypierając stąd mężczyznę zupełnie. I nie widziałeś go tu niemal nigdy, a jeżeli przyszedł, to nie po to, by współzawodniczyć z kobietami w kupnie, ale by podumać nad niezwalczonym pociągiem słabszej połowy ludzkości ku temu, co, rzetelnej wartości pozbawione, niby szych błyszczący i pociąga ku sobie oczy.

Dziś po tem wszystkim, co tu kiedyś było, co zachwycało i interesowało niezwykle, pozostało jedynie wspomnienie. Przyszedł dzień Bożego gniewu, jak mówią Turcy, ziemię tylokrotnie tu poruszaną nawiedziło ponowne trzęsienie ziemi, i z tego wspaniałego Bazaru, z tych mnogich wystaw wszystkiego, co Wschód najwspanialszego posiada, pozostały ruiny.

Ale wczoraj?

Wielki Bazar, Böyük Czarszi, jak go Turcy nazywa, był do niedawna jeszcze w Stambule prawdziwym miastem w mieście. Widzę to, gdy się przyglądam jego planowi, widzę, gdy się przechadzam po jego gruzach.



Platan przed Serajem.

Na mapie miasta przedstawia się on jak wielka, zawalająca znaczną jego część, plama, w rzeczywistości, jak olbrzymi, obmurowany obóz. Obóz nie mający z miastem nic wspólnego, sam w sobie i sam dla siebie, niegdyś rojący się tłumami, dziś opustoszały, z którego uleciała w za grobowe światy ożywiająca go kiedyś dusza.

Na rozległej przestrzeni, na pagórku pomiędzy Złotym Rogiem i morzem Marmara, w pobliżu

starego forum Teodozjusza, meczetu Bajazyda i Seraskieratu, rozpościera się oryginalna dzielnica, jakiej podobnej próżnobyś szukał w innych miastach.

KAP. BRERETON.

Tajemniczy samolot

Przekł. z ang.
M. G.

12)

Chłopcy ujrzeni, że są w kurytarzu, a przebywszy go, wyszli na obszerną, nieoświetloną przestrzeń... Owiało ich świeże powietrze, a nad ich głowami, w górze snopy iskier.

— Panowie! — przemówił wreszcie pan Teodor — zostańcie tu, jeżeli wam życie miłe. Powrócę do was wkrótce... Tymczasem wiedźcie, że jesteście na pokładzie „Upiora“...

Odwrócił się, wszedł na stalową drabinę i znikł, a gdy chłopcy spoglądali na nich z osłupieniem, rozległ się lekki turkot maszyny i podłoga pod ich stopami zakołysała się gwałtownie.

— Patrzcie! — wykrzyknął Harvey, padając na kolana.

To samo uczynili jego towarzysze, niepodobna było utrzymać się na nogach. Podłoga bujała się jak pomost statku na burzliwym morzu, lecz wkrótce uspokoiło się kołysanie i czuć było tylko drganie samolotu, poruszanego szybkimi obrotami śruby. Chłopcy doznali takiego uczucia jakby byli pociskiem działowym wystrzeleni w górę; porwały ich mdłości, a potem ogarnęła okropna trwoga, nieposkromiona chęć położenia się i uchwycenia czegoś stałego, czegoś do czego możnaby się uczepić.

Potężny samolot wznosił się w górę z fabrycznego dziedzina, wylatując jak pocisk działowy z morza płomieni trzaskających iskier. Chłopcy widzieli ogień przez otwory podłogi, na której leżeli. Widzieli dokładnie wszystko, cały dziedziniec, płonące budowle, wysoki komin i rozciągające się naokoło pola, zalane księżycowym światłem.

I zobaczyli trzy ludzkie postacie, trzech łotrów, którzy podłożyli ogień, ratujących się ucieczką od pożaru.

„Upiór“ zobaczył ich także i spuścił się ku nim tak gwałtownie, że Ted mimowoli silniej uchwycił się krat, na których leżał wyciągnięty „Upiór“, przeleciał też nad głowami zbrodniarzy, uciekających z przeraźliwym krzykiem.

Jerzy, mechanik, zadawał sobie pytanie czy to sen, czy jawa? Czy jakaś przerażająca zmora, czy rzeczywistość, na rzeczywistym pokładzie, rzeczywistego samolotu, na który tak gorąco pragnęli się dostać?

Ale jego wątpliwość rozwiały krzyki podpalaczy i trzask rewolwerowego strzału, który w bezsilnej wściekłości, posłali za „Upiorem“.

Nie można było już wątpić. Była to rzeczywistość, nie sen. Jerzy i jego towarzysze lecieli w przestrzeń na pokładzie „Upiora“.

V.

JERZY W SWOIM ŻYWIOLIE.

Nie upłynęło nawet pięć minut, odkąd Ted, Jerzy i Harvey weszli za panem Teodorem na pokład samolotu, kiedy podniósł kotwicę, jeśli można tak się wy-

razić w tym wypadku. Ale przez ten krótki przeciąg czasu, chłopcy doznali nieznanych dotąd wrażeń. Wszyscy trzymali się mocno krat, tworzących podłogę samolotu, jakby ich życie od tego zawisło. Porwały ich mdłości, ogarnęła nieposkromiona trwoga, wzrastająca w miarę jak samolot, kołysząc się i przechylając gwałtownie, spadał z zawrotnej wysokości na dół. Lecz mimo to górowało w nich uczucie tryumfu. Dostali się na pokład latawca! To wynagradzało im wszystko!

— Ależ on fruwa jak ptak! — wyjąkał Harvey, gdy „Upiór“ spuściwszy się tuż nad głowy uciekających łotrów, zakołysał się przez chwilę nad nimi a potem wzbiał się w górę, pozostawiając strwożonych na ziemi. — Gdzież my jesteśmy?

— W samym środku samolotu — objaśnił Jerzy, wysilając się na spokój. — Gdyśmy spuszczały się na dół, dojrzałem spód jednego skrzydła... Latawiec spadał pod kątem 45°... Myślałem, że już wywinie my koziołka... Ale zaraz odzyskał równowagę i zakręcił w przeciwną stronę. Wtedy zobaczyłem drugie skrzydło. Co to za noc! Co za noc!

Przesunął chustką po twarzy zroszonej potem, mimo chłodnego wiatru, wiejącego przez okratowaną podłogę, prosto w oczy chłopców.

— Wyznaję, że miałem porządnego stracha a i teraz jeszcze czuję się głupio — mówił dalej Jerzy, jakby z niechęcią stwierdzając swą słabość, stawiającą go na równi z towarzyszami. — Muszę trzymać się z całych sił kraty...

— Nic dziwnego — odrzekł Ted. — Nawet doświadczony lotnik czułby się nieswojo, a cóż dopiero nowicjusz. Bo czy był kto kiedy na takim samolocie co kołysze się jak statek i spada na dół, pochylony na bok, z szybkością strzały, i zatrzymuje się o trzy łokcie nad ziemią? Chciałbym widzieć takiego, co by się nie przeląkł! Dotąd jeszcze drzę cały...

— Jak po fajeczce! — zaśmiał się Harvey, z przymusem, bo i kanadyjczyk, pomimo odwagi, nie czuł się lepiej od towarzyszków. — Ciepło nam było przez pięć minut! Ha! — dodał siadając — ale teraz już jesteśmy bezpieczni! Podłoga trochę się kołysze, co sprawia takie uczucie, jakie się doświadcza na pokładzie parowca, w czasie burzy; ale co gorsze, to, że widać przez kraty, co jest pod nami... Człowiek nie może nie pomyśleć; coby się z nim stało gdyby spadł.

— Stałoby się to co z koszykiem jaj zrzuconym z dachu — objaśnił Jerzy krótko. Ale ten samolot nie spadnie, człowiek, który go zbudował, który nim kieruje, ma głowę pierwszorzędną, i obmyślił wszystko tak dobrze, że potrafi oprzeć się żywiołom; można na nim polegać.. Ale w jaki sposób dokonał tego, że taki ciężar unosi się w górę jak piórko?

Jerzy dźwignął się, usiadł i popatrzył pytająco na kolegów.

„Amerykanka“ ⁴⁾

OBRAZEK SCENICZNY.

KRYSTA. Może pani myśli, że Dick jest jakimś niedołągą, ślepy, czy kulawy? O, nie! Dick jest śliczny człowiek! Wysokość 185 cent., klatka piersiowa 104, mięśnie z żelaza, zdrów, lat ma trzydzieści. Czego się śmiejecie? czyż... (*urywa nagle, przypada do Stefy, chwytając ją za obydwie ręce i chwile się w nią wpatruje*).

STEFA (*przerażona*). Co ci się stało?

KRYSTA (*zduszonym głosem*). Nic, nic... (*powiodła dłonią po oczach*) jak się śmiesz... bardzo... moją matkę przypominasz... w spokoju, niewiele ale w uśmiechu... bardzo... bardzo...

STEFA (*nieśmiało, tuląc się do Krysty*). Krysto! (*zarzuca jej ramiona na szyję, Krysta serdecznie odzajemnia się pieszczotą*).

ANULKA (*oparta o okno, przypatruje im się, podczas tego wchodzi Kulina*).

SCENA V.

Stefa — Krysta — Anulka — Kulina.

KULINA (*zdumiona*). A to co takiego?

ANULKA. Nie widzi Kulisia? Stefcia i p. Krysta ściskają się.

KULINA. Kry—y—sta?! To je panna Krysta!? (*obchodzi Krystę nadekokoło, oglądając ją od stóp do głowy*).

KRYSTA (*z uśmiechem*). Cóż mi się pani tak przypatruje?

KULINA (*nie przestając oglądać Krysty*). Pani to ja nie jestem, ino Kulina... (*kręcąc głową*) No, no, świecie Boski... świe—e—cie Boski!

KRYSTA. Cóż takiego? Czy mi w drodze do Brzozówki rogi wyrosły?

KULINA. W tem to i rzecz, że nijakich rogów, ani innego farmazoństwa nie widzę. Ba, licho nie śpi... kaj może, to się uroi, wiadomo. A jakże się to panna do Brzozówki dostała?

KRYSTA. Zupełnie zwyczajnie, droga pani.

KULINA (*kręci głową, mruczając podejrzliwie*). Zaś znów pani, i jeszcze droga, ani chybi, farmazon!

KRYSTA. Co pani mówi?

KULINA (*ze złością, prędko*). Pani nic nie mówi, bo pani je w Warszawie, a tu stoi Kulina, wdowa po Wojciechu Kuli, stelmachu z Różanki! słyszy panna? Tak, stara Kulina! co tę oto naszą kruszynę (*wskazuje Stefę*) na własnych rękach wykołysała! i nijak, nikomu ukrzywdzić jej nie da! no!

KRYSTA (*zdziwiona*). Ależ...

STEFA. Nie mów jej pani.

KRYSTA. Ach, tak! (*do Kuliny*). Przepraszam p... p... Kulinę.

KULINA. Obeńdę się bez przeproszenia, niechno ino panna powi, jak się do nas dostała, bo pomysłę, że bez jakom nieczystom siłę.

STEFA (*zgnębiona, prosząco*). Bój że się Boga, Kulisiu, co ty wygadujesz?

KULINA. Wiem co wygaduję. Funia ma swój rozum z książek, a ja swój ze życia! A książkowy rozum akuratnie tak pasuje do życiowego jak piędź do nosa!

KRYSTA. O yes! słusznie.

KULINA. Ja i bez zamorskiego przyświadczenia wiem, że „jes“ słusnie!

KRYSTA (*do Stefy i Anulki*). Co to jest? Dlaczego ta kobieta tak wrogo na mnie patrzy?

STEFA (*załamując ręce*). Boże, mój Boże!

KULINA. A czemuż to panna osobliwie przyjechała, a nie z państwem?

KRYSTA. Bo pojechałam inną drogą nie na Warszawę; chciałam wam zrobić niespodziankę.

KULINA. A juści! niespodziankę! Ani chybi, jeno żeby dopaść dzieciątko nasze, przez opieki ostające. Ale stara Kulina jest i czuwał niech panna paminta! niby druga rodzicielka Kulina czuwał!

(*Wchodzi Franek*).

SCENA VI.

Ciż sami i Franek.

FRANEK (*ujrawszy Krystę, zdziwiony po chwili kłania się jak poprzednio*).

KULINA. A ty tu po co?

FRANEK. A to kowal przywiezł skrzynkę.

KRYSTA. Ach to mój bagaż.

STEFA. Twój bagaż?

KRYSTA. No tak. Rozstaliśmy się pod Żabinem; kowal pojechał traktem, a ja poszłam przez las, koło tartaku.

KULINA. Panna przyjechała kowalową furmanką? w deskach z żelaziwem.

KRYSTA (*śmiejąc się*). Nietyle ja, ile moja waliza; ja szłam obok.

STEFA (*zdumiona*). Przeszło trzy mile szłaś!

KRYSTA. To mało, czy dużo? Nie wiem, jak wy tu chodzicie; ja mogę zwykłym krokiem, bez wielkiego zmęczenia, przejść około 30-tu kilometrów, nie odpoczywając.

FRANEK. Cie! to panna! i chłop by lepiej nie poradził.

KULINA. Ani chybi! nieczysta siła!

STEFA. Ależ ty, Krysto, musisz być jednak zmęczona i głodna, prawda?

KRYSTA (*śmiejąc się*). Co do zmęczenia — protestuję, na głód — zgadzam się.

STEFA. Boże, co ze mnie za gospodyni! (*zwraca się ku drzwiom, po chwili jednak zatrzymuje się, potem zbliża się do Krysty, obejmuje ją za szyję i mówi nieśmiało*). Bardzo, bardzo jestem ci wdzięczna, Krysto, za niespodziankę i... (*kończy po cichu, podczas tego*)

KULINA (*watrzy chmurnie na Krystę i Stefę*).



Wieśniacy z Podlasia, udający się na pielgrzymkę do Częstochowy.

Zapadłe jeziora.

W głębi, w dolinie, pośród skał zacienia,
Gdzie nigdy słońca nie dochodzi błysk,
Wśród zwiędłej trawy porzewiałych rżysk
Ciemnych się jezior woda ubezdenia.

Nigdy tu skrzydeł wiatr nie rozprzestrzenia,
Ni na brzeg fali wysrebrza się bryzg,
Lub burza miota wirem wodnych wrzysk —
Tu kraj zapadłych jezior i milczenia.

Ciemne, spokojne, bez wypływu rzek,
Wśród traw powiędłych leżą wieczne śpiące;
Dzień za dniem mija i za wiekiem wiek.

Na niebo patrzą nigdy nie świecące,
Na niestajały nigdy w źlebach śnieg —
I o tym świecie marzą, gdzie jest słońce.

Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Kto zawsze tylko żył w pustyni.

Kto zawsze tylko żył w pustyni,
Niechaj nikogo ten nie wini,
Że nie podniosą się rozpacze
I tylko nad nim kruk zakracze.

Kto się nie imał ludzi sprawy,
Ani się wcielał w bój ich krwawy,
Niech nie narzeka ten z pod ziemi,
Że ludzie nad nim idą niemi.

Kto kochał tylko wicher i skały,
Od skał i wichru li ma prawo
Żądać, aby go żalowały,
Kiedy pod zimną legnie trawą.

Kazimierz Przerwa Tetmajer.

Gry sportowe na powietrzu.

WIEŻA.

Liczba bawiących się: 10 — 20. Pole gry: wolna przestrzeń kształtu koła, którego średnica wynosi 40 kroków. Przybory: piłka obszyta w skórę i 3 laski 1 — 1 i pół metra długie, służące do utworzenia wieży.

Przebieg zabawy: Uczestnicy zabawy tworzą koło zwracając się twarzą do środka, przyczem rozstęp między sąsiadami wynosi trzy lub więcej kroków. W środku koła ustawia się piramidę z 3 lasek u góry związanych, która przedstawia wieżę. Dla obro-

ny wieży przeznaczają się strażnika, który staje wewnątrz koła i rozpoczyna zabawę, kopiąc piłkę ku obwodowi. Od tej chwili stojący na obwodzie koła kopią piłkę stosownie do umowy tylko prawą albo tylko lewą nogą i starają się trafić wieżę, podczas gdy strażnik zasłania ją, odbijając piłkę nogami, tułowiem lub głową. Kto trafi wieżę, zostaje strażnikiem, dawny zaś strażnik staje na obwodzie koła. Można także przeznaczyć dwóch strażników do obrony wieży.

PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAL

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 11)

Pogarda, którą Kaznikiewicza zaraz po wypadku okrywano nie wiele się też zmniejszyła, pomimo, że parę tygodni od zajścia upłynęło i pomimo, że Janek wszelkich używał sposobów, aby postępek Kaznikiewicza przed kolegami usprawiedliwić i wytłomaczyć im, że Kaznikiewicz zwał winę na niego nie ze złego serca, ale tylko dlatego, żeby się klasa zabawiła.

Starał się też Jasiek dać pierwszy, dobry przykład i zbliżał się do Kaznikiewicza, ten jednak tak się jeżem Barańskiemu stawiał, tak był zawzięty, że o zbliżeniu się tych dwojga ludzi do siebie na razie przy najmniej mowy być nie mogło.

Dał też w końcu Jasiek za wygraną, a że w pierwszej klasie roboty nie brakowało, bo to i z niemieckiem i z łaciną borykać się trzeba było, chwycił się książek i poza książkami nic go nie obchodziło.

Zdolny i pilny nic dziwnego, że zyskał sobie sympatię wszystkich profesorów i opinię pierwszego ucznia nie tylko w klasie, ale i w całym gimnazjum.

Opinji tej koledzy nie zazdrościli mu. Ci tylko, którzy sami nic nie robili i przy każdym zapytaniu obrywali dwóje, ci przezywali Jaśka „kujanem“, ale z kpiniek ich Jasiek nic sobie nie robił, a że chętnie to zadanie dał odpisać, to podpowiedział, powoli tą dobrocią serca i koleżeństwem zwalczył najzawziętszych nieprzyjaciół. Jedynie tylko nie mógł zwalczyć nienawiści Kaznikiewicza, którego nienawiść rosła jeszcze skutkiem zazdrości wywołanej tem, że Barańskiego, syna chłopca, wszyscy chwalili, że ojciec Barańskiego dawał mu za przykład, a jego, syna dyrektora wszyscy ganili. Aż dziw brał skąd się w młodym chłopaku tyle złości i nienawiści brało, skąd brała się u niego ta straszna chęć zemsty.

Biedny był stary Kaznikiewicz z tym swoim synem. Mimo troskliwego wychowania nagromadziło się u chłopaka tego tyle złych instynktów, zrodziła się taka niechęć do nauki, że jedna konferencja nie minęła, aby na niej Kaznikiewicz nie był z kilku przedmiotów zganionym.

Chociaż Barański ze wszystkimi żył dobrze, serdeczna przyjaźń łączyła go tylko z Madejem i Guzakiem.

Może przyjaźń ta zawiązała się skutkiem tego, że trójka ta jednakowo biedną była, jednakowo prawie dobrze się uczyła, a może i dlatego, że Madej był chłop rozrosły, silny i śmiały, Janek wątpliwy, a Guzak wesoły i nie frasośliwy. Kto wie zresztą co tych trzech chłopców złączyło, ale co bądź ich złączyło, złączyło silnie.

W wolnych od zajęć naukowych chwilach, razem wyrwali się poza miejskie mury, aby spojrzeć na pola, które ich wykarmiły, wciągnąć w piersi od ich wiosek płynące wonne powietrze.

Na takich wycieczkach Madej umizgał stę do pierwszego lepszego przy pracy spotkanego chłopca; odbierał z rąk jego czy to sierp czy to kopaczkę, czy grabie i plunawszy w garść robił za chłopca, dając po łakach jak rozhukany żreback, a Jasiek wydobywał książkę z kieszeni i czytał, albo też podłóżwszy pięść pod głowę leżał na miękiej murawie, poglądając w bezchmurne niebo i myśląc Bóg wie o czem.

Kiedy tamci dwaj pomęczyli się przychodzili do Jaśka, siadali przy nim i zaczynała się rozmowa.

Pewnego razu w czasie takiej wycieczki, gdy Madej zmachany kopaniem ziemniaków runął koło Jaśka na ziemię zapytał go tenże.

— Powiedz mi czemu ty właściwie przyszedłeś do gimnazjum, kiedy lubisz tak w polu pracować i jak widać przykrzy ci się bez tej pracy!

— Czemu? Jest nas kilkoro. Zagona się człek pomiędzy niemi nie dorwie. Daliby ta kiedyś jakąś niewielką spłatę i idź bracie w świat na poniewierkę, wystugiwać się obcym. Tego mi się nie chciało. A że jest w naszej wsi jeden dobry akademik, któremu bywało pomagałem czasem w polu pleć ziemniaki, to ten opowiadał mi o szkołach i jednego roku coś niecoś poduczył, drugiego to i owo pokazał, aż wreszcie trzeciego obliczył ojcu dokumentnie co i jak będzie kosztowało, wyrachował, że jeżeli mi ile tyle z domu pomogą to spłaty na szkoły wystarczy i stary dał się namówić i odwiózł mnie do miasta. Żeby się te szkoły jak najprędzej skończyły, żeby tylko chleba się dorwać!

— To ty dla chleba się tylko uczysz?

— A jakżeś chciał? Ty niby nie?

— A nie. Uczę się, aby się uczyć, ale co za to mieć będę nie myślę. Ot chciałbym zostać wielkim uczonym i uczyć się, uczyć się ciągle czegoś nowego przez całe życie. Chciałbym mieć jedynie dużo książek i spokojny kącik, aby mi nikt w nauce nie przeszkadzał!

— A to ci pomysł dopiero! — wtrącił się do rozmowy Guzak. — Aż mnie zimno przeszło, gdy sobie pomyślę, że miałbym całe życie ślęczeć nad książkami. Ani mi się śni. Uczyć się będę w szkołach, ale niech no tylko szkoły skończę, zacznę bujać i używać i ani na książki nie popatrzę.

I tak to chłopcy nieraz długo w zmrok rozmawiali o przyszłości.

Niedziele należały do przyjemniejszych dni w ich jednostajnym życiu.

W dni te wszystkimi można powiedzieć drogami ciągnęły rano objuczone tobołkami kobiety. Były to matki idące odwiedzić synów i niosące im na cały tydzień prowianty.

d. c. n.





Jesteś „Kochającą“, a jednak zrobiłaś mi przykrość tem posądzeniem mię o brak serdecznych uczuć dla ciebie, dlatego, że jesteś... Powiedz, dziewczeczko, czem zasłużyłam na ten zarzut, kiedy właśnie do rzędu mych najmilszych korespondentek zaliczam i ciebie?

Ja również pragnęłabym poznać cię osobiście, może wówczas porozumiałabyś się łatwiej, i zdolałabym cię przekonać, że celem niniejszej „Skrzynki“ jest nietyle przyjemność wasza, co pożytek, a więc służenie wam radą, jeśli o nią prosicie, pomaganie w pozbawianiu się wad, o które się oskarżacie, rozbudzanie w duszach waszych umiłowania wszystkiego, co wzniosłe, dobre, piękne, wskazywanie prawdziwego celu człowieka, a zwłaszcza Polaka-chrześcijanina, i za prawdę, szczęśliwą bym się nazwała, gdybym kiedyś mogła się dowiedzieć, że umiłowana ma gromadka przez te pogawędki z „Przyjaciółką“ uszlachetniała swą duszę, umysł, bogaciła się w cnoty, rozwijała myśl i serce... O! z takiego przeświadczenia można być bardzo szczęśliwym!

Troszkę się dziwię, że *Kochająca* nie mogła znaleźć redakcji „Wieczorów“, wszakże znajduje się ona przy ul. Trębackiej № 11, w podwórzu, na prawo, pierwsze piętro, wspólnie z lokalem redakcji „Polaka-Katolika“ i ofiara twa w każdej chwili może być przyjęta. Za pamięć o ukochanej „Jaskółce“ i Halince serdecznie ci dziękuję i zasylam serdeczny uścisk.

Pamiętam cię *Czarna Liljo* pod dawniejszym twym pseudonimem, pod którym, jako piskle jeszcze „Jaskółki“ wzbudzałaś już moje zainteresowanie i sympatię; bardzo mi więc miło, że mogę cię poznać, choć listownie, że wracasz do porzuconego gniazda, w którym serdecznie i z radością witam cię, pragnąc, byś go już nie opuszczała.

Winszuję ci *Czarna Liljo* dostojeństwa studentki, i mam mocną nadzieję, że celu swego dopniesz, a cel ten tak wielki, tyle wymagający poświęcenia, miłości, prócz wiedzy! Lud nasz taki jeszcze ciemny, ubogi, nieświadom swego bytu i celu, tak przez różnych „niepowołanych“ oplątywany i prowadzony na manowce, że długo jeszcze, długo, nie będzie nigdy dość rąk, noszących mu światło...

O posadę taką najlepiej się zwrócić do Świątlicy Ziemiarek ul. Kopernika № 14 w Warszawie.

Przyjm droga Liljo od „Przyjaciółki“ uścisk i najlepsze życzenia powodzenia w zapoczątkowanym dziele.

Pani Marji Ż... Istotnie, rzecz trudna, i dlatego lepiej będzie udać się wprost do ks. prałata M. Godlewskiego ul. Kaliksta 5, który najdokładniej w danej kwestji Szan. Panią poinformuje..

Żadnych listów od synków Pani nie otrzymałam, widocznie zaginęły, lecz niech *Wiórek* i *Waligóra* zamiast niecierpliwic się i wyrzekać napiszą powtórnie i wyślą swe listy pod prywatnym moim adresem, którego udzieli redakcja „Wieczorów“, a odpowiedź napewno otrzymają.

Doprawdy, zazdroszczę ci *Balladyno* takiej ślicznej i pouczającej wycieczki.

Ojców, Kraków, Zakopane, Wieliczka toż to perły piękności naszej ziemi i kolebki najdroższych pamiątek, które tyle szczytnych myśli i wzniosłych uczuć

wywołają w twojej duszy. Wyobrażam sobie, jak się musisz tą wycieczką cieszyć, i myślę, że wrócisz z niej jeszcze lepsza, uszlachetniona i rozumniejsza, boć taki jest cel wszelkich wycieczek, czy to bliższych, czy dalszych, nieprawdaż?

Za obietnicę karty i pamiątki dziękuję ci bardzo, ale nie zapomnij o podzieleniu się z „Przyjaciółką“ wrażeniami podróży.

Co do literackiego sporu, obie strony nie mają słuszności, gdyż Orzeszkowa nie była poetką, lecz powieściopisarką a pośród piszących w tym kierunku kobiet zajmowała naczelną miejsce „Mistrzyni“ jak Kopnicka, największa z kobiet poetek.

Cesia Skrzyńska dobrze rozwiązała łamigłówkę, ale szkoda, że się nie zdobyła na list do „Przyjaciółki“.

Więc naprawdę *Kotusiu* jesteś taka ciekawa, jak wygląda wieś, na której spędzam lato, i czy mi tam dobrze?

Otóż miejscowość jest bardzo ładna, zdrowa i willa wygodna, lecz zupełnie odosobniona, dowozu żywności niema i służba z powodu braku towarzystwa rejteruje; stąd wiele mamy kłopotów i niewygód, no, ale trudno, dla miłości świeżego powietrza coś poświęcić trzeba, a sezon letni przecież kiedyś skończyć się musi. Córeczka moja Halinka i braciszek (wujek Halusi) Tadzio są zdrowsi, co już pobyt tutaj w przykrych nawet warunkach wynagradza.

No, widzisz, dowiedziałaś się, coś chciała, ale wypłaćże mi się pięknem za nadobne, bo o swoim letniku niewieleś mi napisała.

Ala znowu zajęta szyciem dla ubogich dzieci!..

Jakże ty mię cieszysz, dziewczeczko, takimi wiadomościami, jakże cię kocham za twą pracowitość, a szczególnie za pracę dla dobra innych, tych ubogich, wydziedziczonych, pozbawionych możności zaspokoienia najniezbędniejszych nieraz potrzeb!

Gdyby to każda z dziewczynek, mających trochę wolnego czasu, zechciała czas swój poświęcić na szycie bielizny, ubrania, lub inne ręczne robotki na rzecz biednych, i robotę swą złożyć później na ręce szarytek u św. Kazimierza, lub u św. Wincentego à Paulo, ileżby twarzy strapionych rozjaśniło się uśmiechem, ileżby trosk zostało złagodzonych, ilu biedaków by się przyrodziło!

Gorąco pragnę, aby dziewczątka, odczytujące te słowa, wzięły je pod uwagę i zechciały naśladować ciebie.

Książeczki, o które ci się rozchodzi znajdziesz w każdej księgarni; szczególnie polecam ci „Wakacje w Olszance“.

Czerwonoskóry nie dostał promocji, współczuję ci chłopcze, ale nie gnęb się tak bardzo, skoro zmartwienie to nie wypłynęło skutkiem lenistwa, lub lekceważenia, lecz z powodu choroby. W ciągu przyszłego szkolnego roku będziesz tak pracował, tak wzorowo się zachowywał, że przejdiesz z pochwałą, nieprawdaż?

Zupełną słuszność przyznając ci, że strata czasu, zwłaszcza dłuższego, jest stratą niepowetowaną, ale odpowiedzialni za ten czas jesteśmy wtedy tylko, gdy strata jego nastąpiła z naszej winy, niedbalstwa, próżniactwa; choroba więc usprawiedliwia nas zupełnie.

Z tobą jest trochę gorzej, ponieważ choroby nabawiłeś się przez nieposłuszeństwo, zupełnie więc rozgrzeszony nie jesteś i w części twoja to wina tego, co się stało.

Muszę przecież dodać, że kto czuje swój błąd, jest już na drodze do poprawy i będzie jeszcze z niego pożyteczny człowiek.

Przyjaciółka.